

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

ŚRODA 6 MAJA.

— DODATEK DO KORRÉSPONDENTA. —

ROKU 1835.

SALVATOR ROSA.

(Ciąg dalszy.)

Oto stanął u kramarza.

— Patrzaj, — rzekł.

— Nie źle! — odpowiedział kramarz z udaną obojętnością, — ale ja wolę małe widoki.

Młodzieniec potrzebował wszystkich sił moralnych na ukrycie, pod pozorem zimnej powagi, gniewu, który wrzał w jego łonie.

— Kiedy się Panu nie zda, to go nazad wezmę.

— Bardzo dziś jesteś żywy, Signor Salvatoriello; nie zrywa się tak nagle stosunków z dawną znajomością. Ale spocznij chwilkę; czoło masz całe potem zalane; musiałeś iść bardzo prędko; brak pieniędzy, nie prawdaż! Smutno to wyrzec, ale więcej mamy artystów, niż amatorów. — Salvator się oburzył. — Jakżeś niecierpliwy! No, zobaczymy; co chcesz za ten mały pejzażyk? Może go się nigdy nie pozbędę... podobnie jak tylu innych, które tu widzisz; lecz trzeba zachęcać ubogich artystów. Mówiąc prawdę, jedne tylko utwory Espanioleta i Lefranca mają niejaką cenę; sam wiesz dobrze o tem.

Młodzieniec pomyślał o matce, o siostrach, o matczynych braciach, a ci ukochani nieszczęśliwi zgromili jego pychę; nędzna kwota opłaciła jego obraz. Nazajutrz i dni następnych, jak cień snuł się w okolo sklepu kramarza, spodziewając się, że obraz był przedany, i spodziewając się na próżno. Rozbójnicy jeszcze tam byli, ciągle tam byli, zamieszani pomiędzy stare portrety, niegodziwe widoki i kopije niegodziwsze jeszcze.

— Gdybym też ja nie miał jenijszu? — rzekł do siebie dnia jednego. A wątpliwość ta śmiertelną była dla niego boleścią; potem wszedł do kościoła. Biedne niewiasty, *lazzaroni*, owinięci zgrzebnem płótnem, modlili się przed ołtarzem N. Panny i Zbawiciela. Spokojność rozlaną była po ich twarzach. Salvator uczuł ukojone obłąkanie swojego serca. Jakaż boleść ludzka nie umikłaby przed cierpieniem Boga? Któżby chciał w obec krzyża gubić się w rozmnażaniu samoistnej nędzy?

Nazajutrz wyszedł, i znowu według zwyczaju przechodził około sklepu kramarza. Pyszny powóz zatrzymał się przede drzwiami. Kramarz, z czapką w rękę, najuniżeńsze czynił pokłony przed jakimieś panem, przepysznie ubranym; pan ów trzymał w rękę obraz i wpatrywał się w niego z głębokiem podziwieniem. Serce Salvatora zaczęło bić gwałtownie: był to jego obraz rozbójników; a z mowy przechodzących dowiedział się, że ów pan był to Lefranc, rywal Espanioleta. — Czy go też kupi?... Ach! gdyby go kupił!... — To zapytanie i ta chęć wszystkie jego opanowała władze. Jakżeby się chciał przybliżyć i usłyszeć, co wielki mistrz mówił do ucznia słuchającego z poszanowaniem! Było to piękne! Czuł to, pojmował z jaśniejącej zapalem twarzy Lefranca, z kilku wyrazów, które wiatr doniósł aż do niego. Gdyby śmiał się przybliżyć, gdyby nie lękał się być wymienionym, byłby usłyszał, jak Lefranc wychwalał uczniowi ognisty odcięcie nieba, ruchomość powietrza i liści, zarysy dzielne, śmiałe i dzikie, które obraz ten wyłącznym zupełnie czynił utworem.

— Rodzaj podobny-zupełnie mi jest nieznan, do żadnej nie należy szkoły, — mówił Lefranc. — Jest-to pierwotny utwór, a jednakże myśl głęboko smętna panuje w tem dziele. Autor musiał cierpieć... niezmiernie wiele cierpieć... Kto on? — A rozczulone jego wejrzenie zwróciło się na niezem niezachwianą twarz kramarza.

— Nie znam go, — odpowiedział.

Lefranc znowu zaczął przyglądać się nieznanemu dziełu.

— Jest tu jakieś imię, — rzekł towarzyszącemu mu młodzieniec, wskazał palcem na kilka liter szybko skreślonych i prawie nieczytelnych i wymówił imię *Salvatoriello*. Usta jego uśmiech powściągnęły.

— To na szyderstwo zapewne położono takie imię, — zawołał Lefranc.

— Być może, — uczynił uwagę uczeń.

— Mniejsza o to, — rzekł Lefranc, — biorę ten obraz, i chcę, aby kupowano wszelkie malowania, wszelkie rysunki, noszące podpis *Salvatoriella*.

Salvator ujrzał, jak wielki malarz dawał złoto kramarzowi. Gdyby nie licha odzież, byłby się zbliżył, byłby zawołał: To ja! Ukrył się w dumnej swojej nędzy i pozostał nieznanym.

Gdy ujrzał matkę i siostry, szczęście młodzieńcych uludzeń znowu głos jego ożywiało; opowiedział im wszystko co widział, co odgadł; długie to było opowiadanie. Nazajutrz Salvator poniósł rysunki kramarzowi, który z niezwykłą przyjął go grzecznością, i odpowiedział na jego zapytania, że Lefranc kupił rozbójników, gdyż go wzruszyła nędza artysty.

— To więc nie dla samego obrazu? — zawołał zgromiony Salvator.

— O! bynajmniej.

— Co-za potrzeba powiadać mi, że jestem ubogi, — odparł zagniewany młodzieniec; — a potem, czy skarżyłem się kiedy na moje ubóstwo? Dziwna rzecz, że Signor, mimo mojej woli, przeniekać pragnie tajniki mego życia! wypadaloby poczekać mego zwierzania się. A ten pogardliwy Lefranc, co się nade mną lituje, który rości sobie prawo do czynienia mi jałmużny, chce mieć mój obraz!

Kramarz usprawiedliwił się, że jak najlepszy nie miał zamiar, wsunął kilka słówek pochlebnych i ukłonił przecie artystę.

Salvator przyobiecał pracować jak najwięcej; dotrzymał słowa. Biedna rodzina zyskała na tym zapale Lefrance. Co niedziela zgromadzano się w domu Julii; Francanzani i żona jego przychodzili wytchnąć po tygodniowych cierpieniach. Lecz Lefranc niezadługo opuścił Neapol, i Salvator poszedł znowu w zapomnienie.

Młodzi malarze, których upokorzył tryumf Salvatora, zaczęli szydzić niemilosiernie; odpowiedział im dumną pogardą, i wierszami krwawą technicą ironiją; to bardziej jeszcze nienawiść zwiększyło. Aniello Falcone, uczeń Espanioleta, jeden tylko przyjazną rękę podał młodzieńcowi. Salvator poznał owego Ribeirę, którego ponury i zazdrosny jenijusz nie mógł ścierpieć współzawodnika; uczęszczał do jego szkoły; lecz obdarzony twórczą oryginalnością, pozostał sam sobą i nie naśladował nikogo.

— Neapol, — rzekł nakoniec, — nie mógł z-ićić moich nadziei. Dominiken żyje w nim biedny i nieszczęśliwy, a jednakże tak wielki ma jenijusz! Nie chcę losu Dominikena, udam się do Rzymu.

Oświadczył to Julii i Cecylii. I biedna matka zaczęła przeglądać pozostałe po mężu ubranie, aby go zaopatrzyć w suknie i bieliznę; nie chciała, aby wyglądał jak żebrak. Heż-to nie wyszło przez trzy dni na łatanie i cerowanie. Nieraz igła wypadła ze zniechęconych rąk Julii. Wówczas łagodnym głosem pytała Cecylija, coby jej było.

— O mój Boże, — odpowiedziała zakłopotana matka, — za bardzo przyciągnęłam ścieg i nowej przyczyniłam sobie roboty; patrz, jak się ujęło. — Toż samo przytrafiło się i Cecylii; ale cierpliwa i pragnąca oszczędzić matce niepokojów, w milczeniu naprawiała niespodzianą szkodę. — Najbardziej mię dręczy, — mówiła znowu matka, — że w Rzymie nie będzie miał nikogo, coby się tem zatrudnił; nie długo to wszystko potrzyma. Patrz, jak koszule przesiane! bo też i stare, mają przeszło lat piętnaście.

— Nie troszcz się matko, — rzekła Cecylija; — Salvator będzie miał dwie porządne koszule z nowego płótna.

— Ciszej, psotnico, ciszej; wiesz, że ja już nie umiem śmiać się. Myślałam ja, żeby mi zrobić parę nowych koszul, ale Ruwini nie chciał mi dać płótna, chociaż na Wielkanoc całą należność mi zapłacił; bał się pewno, żeby nam nie zabrakło

chęci do pracowania. Prawda, że twarzyczka twoja pobladła ze zmartwienia, a troska ubielila moja głowę, a przecie nie miałam ani jednego siwego włoska, nim Salvator zniknął.

— Biedna matko!

Dziewica złożyła pocałowanie na wychudłym policzku wdowy Antonia; zniknęła na chwilę, i powróciła upiękniona radością, trzymając w rękę dwie nowiuteńkie koszule, uprane i uprasowane najstaranniej. Śmiała się i płakała razem. Matka głośno krzyknęła. Cecylia od dawna pracowała po nocach, i za pieniądze zarobione, owoc tyłu bezsenności i trudów, sprawiła dwie koszule. Z rozczuleniem i uszanowaniem dar ten przyjął Salvator.

— Prawdziwy z ciebie anioł, Cecyljo,—rzekł.— Sam Bóg tylko godnie zdoła ci nagrodzić.— Potem ścisnęło mu się serce:— Cóż się z wami stanie, gdy mnie tu nie będzie?

— Czy Bóg opuścił kiedy tych, co go wzywają? — odpowiedziała Cecylia. — On miarkuje wiatr podług lotu drobnych ptaszek; on im daje owoce i ziarna, których ani siał, ani zbierał; on je także ciepłą przyodziewa szatą na śnieżną porę. Lilije, jak mówi Pismo Święte, nie pracują, ani przędą, a potężny Salomon nigdy tak wspanialej, jak one, nie nosił odzieży. A lilije krótko żyją, Salvatorze. Śród tego niezmiernego rozdziału dobrodziejstw, sam tylko człowiek miałby być zapomniany. O! i ty tak nie myślisz. — Blade oblicze dziewczicy rozjaśniło się pobożnym uśmiechem, i przeniknionym dodała głosem: — Ufać będę Panu, dopóki nie spocznę w grobie.

Nadszedł dzień rozstania. Cała rodzina zgromadziła się na śniadanie. Smutną była ta biesiada pożegnania. Potem wszyscy ukłękli przed obrazem *Madony*. Cecylia przystroiła go kwiatami, najczystsza oliwa gorzała w lampie. Paolo Grecco głośno odmówił modlitwę. W ostatniej chwili stałość opuściła Salvatora, pochylił pigkną głowę na sercu matki i płakał.

Gdy już utracił z oczu owe przedmioty pierwszego, najczulszego przywiązania, gdy znikła anielska twarz Cecylii, znowu stał się panem własnych uczuć. Ostatnie spojrzenie zwrócił na dzwonicę kościołka, gdzie tyle razy się modlił, ostatnią myśl poświęcił matce. Zarzucił na ramię kij pielgrzym-

ski, na którym zawieszono było małe zawiniątko, związane w chustce, i puścił się w drogę.

Okolice Rzymu z poetycznym swoim zniszczeniem, pustymi *villami*; pałace i rozburzone groby, zdobiące po obu stronach Appiuszową drogę, wymownie przemawiały do ognistej i smętnej duszy młodego artysty. Natura zbyt piękna, zbyt szczęśliwa, zdawałaby się uragać z jego nędzy. Ta trawa zwiędła i żarem słonecznym spalona, nim przyzwoitego doszła wzrostu, prawdziwym była obrazem jego młodości. Z upodobaniem patrzył, jak się z gór spuszczały trzody owiec i stada na wpółdzikich klaczy. Nieraz zachwycone oczy wlepił w daleki widokrag, któremu lekkie wyziewy tak czarodziejski nadają pozór; nieraz toczył je po tem niebie, którego światło tak czyste, tak ruchome, niewysłowione uroki rozlewa na wody, na ziemię, na obłoki. Żadna kraina nie oddycha smętną wielkością pól rzymskich. Posłuchajmy co mówi poeta: »Wystaw sobie coś ze zniszczenia Tyru i Babilonu, o których wspomina Pismo Święte; milczenie i samotność tak głębokie, jak gwar i tłum ludu, cisnącego się niegdyś po tej ziemi. Tutaj mniemamy słyszyć rozlegające się przekleństwo Proroka: »Dwie rzeczy w jednym dniu się spotkają, nieplodność i owdowienie.« (*)

Noc prawie była, gdy Salvator wszedł do *wiekuistego miasta*. Nie podobna opisać tego, co doświadczył; była-to radość, był-to tryumf, była-to cierpka boleść. Oburzył go ów przepych Rzymu; zewsząd gorejące światła nienawistnym blaskiem go zalewały. Świetne powozy przebiegały obok niego; a chociaż tak wyższy od innych jenijuszem, musiał cofać się wraz z tłumem, aby go konie pod kopytami nie roztratowały.

Powietrze rozlegało się krzykiem, turkotem, odgłosem muzyki, wesołemi śpiewy: był odurzony. Każdy z tych przechodzących miał własne mieszkanie, każdego czekało przyjazne oblicze; a on, obcy, obojętny dla wszystkich! niezuosna chyba ciekawość go powita; nie wie nawet, gdzie noc przepędzi? tak mało ma pieniędzy! A jednakże nabrzmiałe, krwią zbroczone nogi już go dalej zawlec nie zdołają. Znalazł wreszcie przytułek w nędznej gospodzie, a nazajutrz i dni następnych cały Rzym przebiegał; nie zatrzymywał się nigdzie;

(*) *Chateaubriand, Wspomnienia Włoch.*

chciały od razu wszystko zobaczyć, wszystko pojąć. Pośród tylu dolegliwych cierpień, jedyna, wielka myśl, nowego użyczała mu zapalu: Jestem w Rzymie! Czemże był świat cały w porównaniu z tą stolicą wielkich wspomnień? W nocy lubił błąkać się po opuszczonej Tybru nadbrzeżach, słuchać cichego, jęklivego szmeru mętnych wód tej rzeki, tyle nieśmiertelnych wznawiających pamiątek. Przechadzał się zamyślony pod dźwięcznymi arkadami Kolizeum, lub po owym placu, który głos wieków upłynionych i tych, co przyjsć mają, zwać będą zarówno *Forum romanum*; w dzień długie godziny pędził w kościele Świętego Piotra. Tam, samotny, wobec Boga, w owej świątyni, która nieskończoność i wieczność nam objawia, czuł słabnące płonne żądze dumy, i myśląc o przyszłym życiu, pocieszał się, że jest pogardzonym na ziemi. Ach! jakże potrzebował tej niebieskiej pomocy! Żadnych przyjaciół w Rzymie. W Rzymie, podobnie jak w Neapolu, musiał sprzedawać kramarzom obrazy piękniejsze daleko, niżeli ten, co kupił Lefranc, nad którym tak bardzo się unosił! W Rzymie-to był pogardzony, nieznany; w Rzymie, gdzie spodziewał się, że długie jego ukończą się cierpienia!

Po zmiechceniu niewysłowionej boleści, zapalał go namiętny szal sławy. Junijusz budził się, jak niszcząca potęga, w tej płomiennej duszy. Wówczas rysunek jego pyszne i energiczne przybierał zarysy, śmiałe odcienie rzucał śród uroczego światła; niewstrzymany popęd myśli, rozpacz, wzburzenie, wściekłość serca, piętnowały jego dzieła ognistym, nieszczęsnym wyrazem: wszystko tam było olbrzymie, jak jego żądze; posępne, jak los jego. Rubensa tylko porównać z nim można co do wprawy. Pędzel jego migał po płótnie.

Niespokojność, zepsute powietrze, którem Salvatore oddychał na smrodliwym przedmieściu, wszelkiego rodzaju niedostatek, który z dumną i szyderczą mocą duszy znosił, złożyły go na łożu boleści; a potem szpital wrota mu swoje otworzył. Gorączka pożerała ciało, a tęskność serce trawiła; trzeba było opuścić Rzym i ojczystem odetchnąć powietrzem.

Widmo tylko młodego wędrownika weszło o zmroku do starożytnego domu w Renella. W milczemiu przycisnął do serca matkę i Cecylię i ma-

leńkich braci. Ani jednego nie uczyniono zapymania. Salvatore wiedział dobrze, że fortuna nieawidziała nędznego poddasza, a matka i siostra na pierwszy rzut oka postrzegły bladłość i wytartą odzież młodzieńca. Ten sam płaszcz, w którym wybrał się do Rzymu, owijał jego smagłą i wychudłą postać. Nie było powinszowań, tylko łzy, tylko tkliwe pieśszoty. Jak za patryjarchalnych czasów, letnia woda oczyściła strudzone nogi wędrownika, i na tę noc przynajmniej musiał przyjąć szerokie łozę, na którem ojciec jego zakończył sen niespokojny, który życiem zowią.

Szczęście rodzinne! zaciszno domowa! jakaż sława iść może w porównanie ze słodyczą waszą? Jakże goją wszelkie rany wyrazy płynące z ust przyjaznych!
(Dalszy ciąg nastąpi.)

L I T E R A T U R A.

Wiadomo, że słynny poeta francuzki, Alfons Lamartine, którego głos często się teraz w Izbie Deputowanych wznosi, celem pojednania ostatecznych, sobie przeciwnych stronnictw, podróżował w r. 1832 i 1833 po Wschodzie, w towarzystwie małżonki i córki, zwiedził Ateny, Cypr, Carogród, tudzież — mimo grasującej tam wówczas zarazy — święte chrześcijańskiego świata miejsca: Jordan i morze Galilejskie, Jerozolmę i Judeę, Betleem i górę Karmel. Zabawił czas niejaki w Bajrut, zkąd, w październiku 1832 r., udał się do Libanonu, oglądał miejsca, w których niegdyś stały Sydon i Tyrus, nareszcie miasta Cezareę, Jaffę (*) i t. d., z których o ostatniem tak mówi: »Jaffa ma w okolicach swoich coś tak wzniosłego, malowniczego i uroczystego, czego w żadnem miejscu nie widziałem.« Podróże Lamartina wyszły w pierwszych dniach kwietnia r. b. w Paryżu, p. t. »*Souvenirs, Impressions, Pensées et Paysages, pendant un voyage en Orient, ou Notes d'un Voyageur.*« Do najpoważniejszych opisów w dziele tem należą odwiedziny u potężnego Druzów Księcia, który teraz połączył się z Ibrahimem Baszą, niemniej u dziwniejszej Angielki »*Królowy Palmiry*«, Lady Estery Stanhope. Nader zajmujący opis tej ostatniej, udzielimy czytelnikom naszym w przyszłym Numerze *Rozmaitości*.

(*) *Pismo niemieckie* »Das Ausland« tak mówi o podróżach tego wieszca: »Lamartine podróżował z wielką okazałością, jak jaki możny Pan; przybycie jego zapowiadały wszędzie listy Posłów i Ibrahima Baszy; oczekiwano nań, dawano mu zastonę dla bezpieczeństwa, i wszelką miał łatwość widzenia miejsc i ludzi, którzy dla zwyczajnych podróżnych nie snadno są przystępnymi.